

Shaw z brodą tylko własną

George Bernard Shaw: „Pigmallon”. Przygoda romantyczna w 5 aktach. Reżyseria: Wanda Wróblewska, scenografia: Teresa Darocha. Premiera w Teatrze Ziemi Mazowieckiej.

„Pigmallon”, kto wie czy nie jest najlepszą komedią Shawa, w każdym razie jest jedną z najświetniejszych komedii w teatrze pierwszej ćwierci naszego wieku. Genialna jako studium charakterów i natury ludzkiej, niegłupia społecznie, wzorowa jako dzieło sztuki dramatycznego — zawiera też arcykomedia Shawa wspaniałe role, którymi popisywali się najznakomitsi aktorzy i aktorki. Także w Polsce. Sztuka do wystawienia — do dobrego wystawienia — nie jest łatwa, ale każdy teatr powinien mieć ambicję podolania trudnościom, jakie następuje.

Teatr Ziemi Mazowieckiej miał takie godne ambicje. I wygrał. W skromnych, łatwo przenośnych dekoracjach dał przedstawienie, które raz jeszcze świadczy, jak bardzo rzetelnie i artystycznie poprawne widowiska teatralne otrzymują klienci tego najlepszego obywatelskiego teatru w Polsce. *Mówiąc na nie:* nic tu zgrywy, sztampy, słucht z publiczka, wstydlwego prowincjonalizmu. *Mówiąc na tak:* przedstawienie zagrane kulturalnie, uczciwie i uważnie, wyreżyserowane sumiennie, inteligentnie, z przetrzastą myślą przewodnią. Jedno tylko małe żelźnięcie się ku niższemu rejonom komedio-wym: w scenie rozbierania się

Elizy w łazience przed pierwszą w jej życiu kąpielą; ale i ta scena trzymana jest na wodzy, więc do wybaczenia, tym bardziej, że sam Shaw wprowadził tu kompletny striptease (w 1912 roku!).

I jeszcze jedno: nareszcie tu, w TZM, mamy prawdziwego Shawa, klasyczną komedię, a nie prymitywny musical. Odetchnąłem, nie widząc Higginsa w lansadach, Elizy śpiewającej bzdurne kuplety, nie męcząc się na krzykliwej, wulgarnej farsie ze śpiewkami (choćby najlepiej wpadającymi w ucho). Oto krzewienie prawdziwej kultury teatralnej. Ściskam dłoń Wandy Wróblewskiej.

I jeszcze drugie: napisałem kiedyś dłuższy esej w „Teatrze”, w którym wywoździłem, że wbrew aluzjom w sztuce i przekornym wywodom w przedmowie do jej książkowego wydania, nie tylko zwyczajna tęsknota za happy endem, ale filozoficzny sens komedii wiedzie do rezygnacji Elizy z kariery kwiaciarzki i pomysłu zamałpójścia za bęcwała-Freda. Eliza pozostanie z Higginsem. Taki powinien być, i tylko taki, finał sztuki, jeśli ma być mądra. Miło mi stwierdzić, że Wanda Wróblewska poprowadziła fabułę utworu właśnie po tej linii. Gałatea jest dla Pigmallona.

Elizę Doolittle, jedną z najcudowniejszych postaci kobiecych w teatrze, gra Maria Pabisz. Jest to młoda aktorka, na którą dotychczas nie zwracalem większej uwagi. Od premiery „Pigmallona” będzie inaczej. To aktorka utalentowana i z wdziękiem. Przemiany Elizy zagrała wyraziście, może najoporniej szło jej na przyjęciu u pani Higgins, ale i z tą sceną dała sobie radę. Eliza pozostaje w kręgu czaru Higginsa. Bo też awans Elizy nie polega na przejściu od lumpenproletariatu do burżuazji: taki jest awans Doolittle'a—ojca. Awansem Elizy jest ewolucja jej psychiki: od instynktów do pełnej, świadomej kobiecości. Mariaż z Fredem to przede wszystkim byłaby jej klęska.

Higgins, którego równie trudno jak Elizę pokazać w pełni jego skomplikowanej natury, gra JARMA DRWESKI. Trochę mu nie dostaje pasji Higginsa, ale umiar w gestach i awanturach kładzie mu tylko na dobro. Jest to Higgins kameralny, pomniejszony, ale do przyjęcia.

Komediodramatowi Elizy i Higginsa bardzo przyzwolicie i na towarzyszym poziomie partnerowali: TOMASZ MOŚCICKI, HENRYKA JEDRZEJEWSKA, STEFANIA IWIŃSKA, DANUTA GALLERT, WIESŁAWA ZELICHOWSKA, RYSZARD NAWROCKI, FABIAN KIEBICZ — chyba zbyt młody na Alfreda Doolittle'a — nie szarżował, to mu zapisuję na plus.

W sumie jeszcze raz: brawo Teatrowi Ziemi Mazowieckiej.